

Czerwony sztandar, krzyż i TVN

7 lipca 2008

A więc SLD jednak wyruszył na wojnę czy też, skromniej i trafniej mówiąc, potyczkę.

Będzie się ona toczyć wokół aborcji, krzyży w budynkach instytucji państwowych, stopnia z religii na maturze itd.

Jak wszystkie inicjatywy oficjalnej lewicy, zmierzające do ratowania swego PR, i ta jest tragicznie spóźniona. Na lewicowy antyklerykalizm było miejsce w początkach transformacji. Wówczas hierarchia kościelna ochoczo roztaczała parasol nad planem Balcerowicza. W Polsce z tamtych lat nie podobała się jej głównie obecność postkomunistów w polityce i śladów mentalności laickiej w kulturze. Powszechnie już teraz znanych patologii przemian – czyli bezrobocia, regionów postpegerowskich, miast, w których zbankrutował utrzymujący je wielki zakład, eksmisji, głodowych emerytur – Kościół wołał nie zauważać. Chyba, że dało się je skojarzyć ze skutkami rządów „wrogów Kościoła”, za jakich hierarchowie uważali tych polityków, którzy spełniali ich żądania trochę się krzywiąc i nie zawsze od razu. Bo tylko taka skromna różnica dzieliła czołówkę Unii Wolności, która ścieżką poza granicą prawa wprowadziła religię do szkół, od ugrupowań ścigających się w umieszczaniu chrześcijaństwa, katolicyzmu, rodziny i (oczywiście, jednolitego wyznaniowo) narodu na swoich szyldach firmowych.

SLD – nie inaczej niż partie, które nim pomiatały za PRL-owskie korzenie, dumnie wyprowadzając swój rodowód z „Solidarności” – był wobec Kościoła pokorny i usługowy. Jego typowy przedstawiciel, Zbigniew Siemiątkowski, głosił, że „elity polityczne”, do których – wspólnie z panem Tadeuszem, panem Bronkiem i zwłaszcza panem Jackiem – ośmielał się od

czasu zaliczyć, powinny dbać o „spokój społeczny”, bez którego modernizacja może się nie udać. Za jednogłówną ugodą liczących się jakoś formacji politycznych, protesty przeciw ustawom o zakazie aborcji i obowiązkowemu szacunkowi dla wartości chrześcijańskich w środkach przekazu, jak również konkordatowi – mimo iż nierzadko wspierała je całkiem znaczna liczba podpisów – były więc ignorowane.

Ale zarazem to właśnie sprzeciw wobec nadmiernych wpływów Kościoła kształtował pewien skromny surogat – zdruzgotanej po upadku realnego socjalizmu – tożsamości lewicowej. Płynąc na fali nastrojów antyklerykalnych, tygodnik „Nie”, w szczytowym okresie swej popularności, wzbił się do 700 tysięcy nakładu. Wstydząc się na pokaz Urbana, jego życiorysu i obecnych wyskoków, liderzy SLD dyskutowali jego oddziaływanie na opinię. Widmo księdza proboszcza, który wdarł się już do klas szkolnych, a teraz się zbliża do drzwi naszych sypialni, wywołało nieoczekiwany przypływ sympatii do lewicy. Nie potrzebowała ona niczego specjalnego robić ani nawet deklarować. Wystarczyło, że – siedząc w kącie i coś tam nieśmiało kwękając – była piętnowana przez zwierzchników gościa w czarnych szatach, którego wielu nie chciało przyjmować.

Groźbę klerykalizacji Polski trudno określić jako złudzenie czy zmyślenie. Najbardziej szkodliwym skutkiem ekspansji Kościoła okazała się nawrót – znanego z czasów Gomułki czy wczesnego Gierka – obyczaju wykonywania zaleconych rytuałów i gestów, w które daleko nie wszyscy wierzyli na serio. Znowu ktoś – w interesującym nas wypadku, duchowny zamiast świeckiego funkcjonariusza – miał urzędowe powołanie, żeby dyktować formułki do odtworzenia przy odświętnych okazjach. Rezygnując z myślenia, należało nimi kwitować tyleż wybrane daty z historii Polski, co aktualnie się narzucające dylematy moralne. Praktyka ta irytowała tym bardziej, że chwalcy nowego ustroju zapewniali, że nierówność i władza pieniądza, które on ze sobą przyniósł, stanowią nieuchronną cenę za wolność. I

tego skarbu, ze względu na który powinniśmy kochać demokrację liberalną – a już przynajmniej powtarzać, że niczego lepszego od niej dotychczas nie wymyślono – zaczęło dotkliwie brakować.

Wolne słowo milkło ze strachu, gdy tylko zbliżało się do tematyki kościelnej. Dziennikarze „Polityki” opowiadali prywatnie, że chętnie widzieliby na swoich łamach coś wymierzonego w biskupów albo nawet cały głoszony przez nich system poglądów, ale... Koniec marzeń: ich ówczesny szef, Jan Bijak, nie życzył sobie, aby duszpasterz środowisk twórczych, ksiądz Niewęgłowski, dzwonił do niego z pretensjami.

Mimo wszystko, w – zredagowanej przez Pawła Śpiewaka – antologii publicystyki z pierwszej dekady III RP niemalże na pierwszy plan wybijają się spory o Kościół i jego stosunki z państwem. Tak to wyglądało w prasie tamtego czasu, że o wartościach chrześcijańskich w mediach, konkordacie czy aborcji zalecano dyskutować z należnym szacunkiem dla Kościoła (albo wręcz z podpisem pod jego deklaracją, iż jest on instytucją „nie z tego świata”), ale zarazem, ostrzegając przed drażliwością tych kwestii, ciągle je wyciągano na porządek dzienny. Szczególnie w dzisiejszej perspektywie, budzi się podejrzenie, iż chytry rozum medialny wolał te właśnie kontrowersje od innych, o wiele mniej dla niego wygodnych. Ktoś wrywał się z ostrzeżeniem, iż Polsce grozi iranizacja – oczywiście, z Watykanem zamiast świętego miasta Kum. Autorytatywne głosy natychmiast potępiały ów przejaw „ateizmu tramwajowego” bądź nawet „zoologicznego antyklerykalizmu” – i tak da capo al fine. Niewykluczone, że najważniejszym efektem tego wzajemnego przekrzykiwania było zafiksowanie dyskusji. W cieniu wież kościelnych znikwały procesy, w których efekcie dzisiaj dyskutuje się już tylko o tym, jak – za pomocą odpowiednich reform edukacyjno-zdrowotnych – pogłębiać kastowe podziały społeczne, a jednocześnie do państwa polskiego, chełpiącego się swoją niepodległością, zza Atlantyku dobiegają głosy wysokich funkcjonariuszy tamtejszej administracji, iż jesteśmy zaledwie

51-ym podmiotem Stanów Zjednoczonych.

Daje się zauważyć przewrotny paradoks. Kościół postawił na transformację kapitalistyczną, która hojnie mu się za to odwdzieczyła. Jeśli przyjrzymy się jego udanym rewindykacjom majątkowym, roli w państwowym systemie kształcenia czy bliskim związkom z głównymi partiami politycznymi, wówczas może się wydać, iż obecnie ma on jeszcze mocniejszą pozycję niż za Wazów czy Sasów. A jednak tak zwane wolne słowo znowu wie lepiej. W oczach jego standardowych nadawców, Kościół przestał być groźną siłą, jakiej należy się obawiać. Ludzie liberalnych mediów w znacznej części zawsze uważali go za dziejową skamielinę, która – niestety – okazała się niezbędna w etapie przejścia międzyustrojowego. Społeczeństwo, dające od czasu do czasu nieśmiały wyraz swojemu przywiązaniu do „socjału”, potrzebowało patrona, który – w chwilach potencjalnie niebezpiecznych napięć – wezwie je do wyrzeczeń i zachowania spokoju.

Kościół bezkonfliktowo dopasował się do wyznaczonych mu zadań. Jego mózgi strategiczne zapomniały o dosyć licznych wypowiedziach prymasa Wyszyńskiego, a także Karola Wojtyły, w których z wrogością do państwowego ateizmu epoki PRL szło w parze odrzucenie nostalgii za międzywojennym kapitalizmem, a nawet docenienie pewnych osiągnięć rewolucji społecznej, dokonanej po roku 1944. Widocznie owoce transformacji, które ludziom Kościoła pozwolono zbierać, ile tylko im się zachciało, były smaczniejsze od – zachęcających do refleksji – płodów drzewa wiadomości. Teraz, być może, nadchodzi czas kary za grzech nadmiernego pożądania dóbr materialnych.

Stało się bowiem tak, że w rzeczywistości społecznej, której nadal jest ważnym beneficjentem, Kościół będzie miał coraz mniej do powiedzenia. Na pochyłe drzewo, do którego się prędzej czy później upodobni, z łatwością – i nie bez zachęty magnatów światka informacyjnego – skoczy nawet tak słabiutka formacja, jak polska lewica. Przestrzeń sporu, w której operują rzecznicy Kościoła i jego przeciwnicy, nie jest już

ważna – o ile kiedykolwiek była – dla odtwarzania istniejącego systemu ekonomicznego. Niech więc lewica – doradza zorientowany komentator – zajmie się przerywaniem ciąży i mniejszościami seksualnymi, bo w gruncie rzeczy do tego się tylko nadaje.

Powie ktoś, iż sytuacja w naszym kraju zmieni się na lepsze przynajmniej o tyle, że lokalne osobliwości ustąpią pola jeszcze wierniejszej niż obecna kopii Zachodu. Przypuszczalnie, Kościół w znacznym stopniu zachowa swoje atuty majątkowe i reprezentacyjne, tracąc za to zdolność do kształtowania stosunków społecznych. Jednakże, bezkrytycznie się z tego ciesząc, nie docenia się głębi rozkładu, jakiego doznał liberalny indywidualizm. Jego sztandarowe hasła – z wolnością w pierwszym rzędzie – są już tylko maską dla gry o bogactwo. Powiedzmy, że od czasu do czasu zdarza się – dyktowana, na pierwszy rzut oka, racjami moralnymi – demaskacja dziwnego splotu, w którym osobiste zakłamanie dziennikarza z przeszłością donosiciela połączyło się z ogólną hipokryzją zatrudniającej go spółki medialnej. Wtajemniczeni domyślają się jednak, że w istocie chodzi tu o walkę o dochody z telewizji cyfrowej, w której młodszy potentat rozgromił starszego: TVN rozgromiła Agorę.

Jak te historyczne tendencje odbijają się w skali jednostkowego życia, świadczy z kolei przypadek lubelskiej nastolatki, która niedawno miała swoje pięć minut. Gazeta codzienna, słynąca z nałogowej manipulacji faktami, bez żenady wkracza w rodzinną – ba! niemal dziecinną – prywatność. Planuje ją bowiem wykorzystać w kampanii propagandowej, którą przygotowała, nie wiedząc jeszcze, iż TVN ją skutecznie ostrzela i podtopi. – Czym muchy dla psotnych chłopców – chciałoby się przypomnieć „Króla Lira” – tym ludzie dla bogów: mordują ich (albo chociaż eksploatują) dla swej zabawy. Jak przed ingerencją tych złośliwych demiurgów miałyby się obronić istoty zredukowane do formatu ludzików? Idąc dalej, zgódźmy się na próbę, iż kobieta powinna decydować o swojej ciąży. Ale

jakim cudem decyzję tej rangi mogłoby podjąć dziecko, które – bo i czego innego się po nim spodziewać – potrafi na razie myśleć zaledwie od SMS-u do SMS-u?

Oto – ukazujący się z tych migawek – świat, w którym czerwone sztandary spoczywają w muzeum, a za chwilę, dla towarzystwa, przyłączą się do nich krzyże. Rządzi nim TVN, która o tyle nie da skrzywdzić tych symboli przeszłości, że w odpowiednim momencie je przypomni: pierwsze w „Faktach” z dnia 1 maja, ostatnie – w trakcie długiego weekendu bożonarodzeniowego.

Autor: Jacek Zychowicz

Źródło: [Obywatel](#)